WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 142 5 GRUDNIA 1978 R. CENA 1,50 ZŁ

W POGONI ZA LISEM – str. 5

Fot. J. Dzikowski

SPOTKANIA LALKARZY AMATORÓW

KRAKÓW (HSI). Teatr Lalki i Maski „Groteska" był organizatorem I Wojewódzkiego Przeglądu Amatorskich Teatrów Lalkowych, który odbył się w Krakowie. W przeglądzie prezentowały swój dorobek zespoły młode, które powstały kilka miesięcy temu, a także zespoły działające już wiele lat. Członkami teatrów lalkowych uczestniczących w przeglądzie są uczniowie szkół podstawowych, szkół średnich i młodzież pracująca. Spotkania były konfrontacją umiejętności, talentów aktorskich i plastycznych młodych lalkarzy. **(mi)**

Na 5 minut przed sezonem

ZAKOPANE (PAP). Przygotowania do sportowego sezonu zimowego w pełni. Na razie to jeszcze sucha zaprawa, ale kiedy tylko spadnie pierwszy śnieg uczniowie zakopiańskiej Szkoły Mistrzostwa Sportowego wyruszą na prawdziwe treningi. Najbardziej popularna dyscyplina sportu wśród młodzieży tej szkoły to narciarstwo. W klasach o tym kierunku najwięcej uczniów. Dla nich zima to nie białe szaleństwo, odpoczynek i relaks, ale przede wszystkim ciężka, codzienna praca. Na zdjęciu trening uczniów klasy V, specjalizującej się w narciarstwie alpejskim, trenujących pod kierunkiem Andrzeja Goetla. **(ach)**

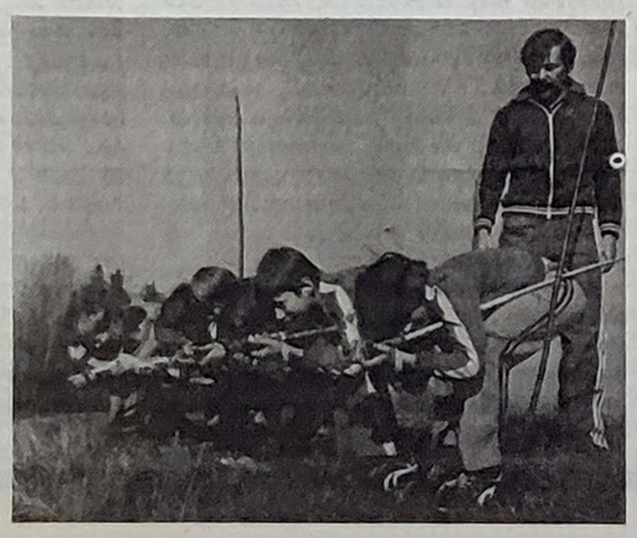

USA (PAP). Amerykańskie Ministerstwo Energetyki patronuje realizacji 24 programów badawczych, których celem jest znalezienie nowych, wysoko wydajnych metod wykorzystywania drewna jako paliwa. Chodzi o wybór szybko rosnących gatunków drzew, które będzie można ścinać już po kilku latach i których plantacje będą odnawiać się same, co wyeliminuje konieczność zakładania szkółek. Dla gatunków tych opracuje się odpowiednie sposoby uprawy, zbioru i ekonomicznego zagospodarowania surowca m. in. na drodze suchej destylacji. Pozwala ona uzyskiwać z drewna metanol, aceton, gaz drzewny, terpentynę i inne produkty. Według danych Ministerstwa Energetyki na „plantacje energii" można by przeznaczyć ok. 10% powierzchni pastwisk i lasów w Stanach Zjednoczonych. **(mat)**

Plantacje energii

ŻURAWIE A... DIAMENTY

Zagadkowa zbieżność liczb!

ŚWIAT (PAP). Jak wiadomo, żurawie w czasie swoich sezonowych przelotów formują w powietrzu klucz, którego boki tworzą kąt ok. 110 stopni. Z kolei kąt zawarty między kierunkiem lotu i każdym z boków klucza wynosi 54 stopnie 44 min i 88 sek. Krystalografowie odkryli już dawno te same prawidłowości kątowe w ... kryształach diamentów. Jednakże zagadkowa zbieżność danych pochodzących z kryształów i kluczy żurawi ciągle czeka na wyjaśnienie. **(mat)**

Zamiast EKG – odciski palców

USA (PAP). Amerykański kardiolog Mark Schwarz uważa, że o wrodzonych chorobach serca człowieka można się dowiedzieć za pośrednictwem... odcisku palca. Prowadzone przez niego badania wykazały, że formowanie indywidualnych linii papilarnych na palcach dziecka następuje już w łonie matki, w momencie, kiedy zaczyna bić serce niemowlęcia. Doktor Schwarz twierdzi, że praktycznie ani razu nie omylił się w diagnozie określającej istnienie wrodzonych wad serca na podstawie odcisków palców. Co więcej – wierzy on, że tym sposobem będzie można wykryć inne wrodzone dolegliwości. **(tok)**

50 TYSIĘCY MOTYLI

CZĘSTOCHOWA (PAP). Muzeum Okręgowe w Częstochowie ma w swych zbiorach bogatą kolekcję motyli, liczącą ponad 30 tysięcy okazów. Placówka ta prowadzi między innymi badania północnej części Jury Krakowsko-Częstochowskiej. W wyniku tych prac uzyskano interesujący materiał o życiu tamtejszej fauny. **(kż)**

O tym warto wiedzieć

Laureaci XI TMMT

W Warszawie ogłoszono 25 listopada rezultaty XI Turnieju Młodych Mistrzów Techniki – organizowanego przez FSZMP przy współudziale CRZZ, NOT oraz Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W ostatniej edycji turnieju – podkreślono to na uroczystości rozdania nagród laureatom konkursu – wzięło udział blisko 115 tysięcy młodych robotników, pracowników gospodarki rolnej, techników i inżynierów, uczniów i studentów.

W XI TMMT zgłoszono około 92 tys. wniosków, z których większość znalazła zastosowanie w praktyce. Wdrożenie wszystkich młodzieżowych propozycji racjonalizatorskich i wynalazczych może przynieść efekty ekonomiczne wartości prawie pięć i pół miliarda złotych. W porównaniu do poprzedniego turnieju liczba uczestników wzrosła o jedną czwartą, zaś liczba zgłoszonych wniosków o jedną piątą. Nieporównanie większe są efekty ekonomiczne, bo niemal dwukrotnie wyższe niż w X TMMT.

Na szczególną uwagę zasługuje to, że 40 proc. uczestników konkursu stanowią debiutanci. Wśród zgłaszających swoje propozycje wynalazcze znalazło się 57 tys. młodych robotników i techników z zakładów pracy, ponad 36 tys. uczniów z 700 szkół i blisko 3 tys. studentów. Po ogłoszeniu orzeczenia sądu konkursowego XI TMMT, członek Biura Politycznego KC PZPR przewodniczący CRZZ – Władysław Kruczek wręczył laureatom nagrody i wyróżnienia, dyplomy i medale Młodego Mistrza Techniki.

Trudno wymienić nazwiska wszystkich laureatów, miło jednak podkreślić, że w konkursie dla młodzieży szkolnej za najciekawszy pomysł techniczny I miejsce zdobyli: Zbigniew Hochół, Grzegorz Lebioda i Czesław Mickiewicz z Zespołu Szkół Zawodowych nr 3 z Jeleniej Góry. Również najużyteczniejszą dla gospodarki narodowej pracę w kategorii szkół złożyli uczniowie z Zespołu Szkół Zawodowych Technikum Mech.-Elektrycznego we Wrześni: Wojciech Jankowki, Mariemczak i Janusz Zwierzchlewski. Nagrody ufundowane przez CRZZ za najlepsze projekty zgłoszone przez panie uzyskały: Liliana Jarmoniuk z Zakładów Wyrobów Sanitarnych w Krasnymstawie oraz Jolanta Żukowska i Bożena Jamiołkowska z WAT w Warszawie oraz Danuta Kober z Zakładów Mechanicznych „Ursus".

Laureatom gratulujemy, a wszystkich zachęcamy do udziału w kolejnym XII TMMT. (b)

ISLAM /2/

SZACH SZACHOWI

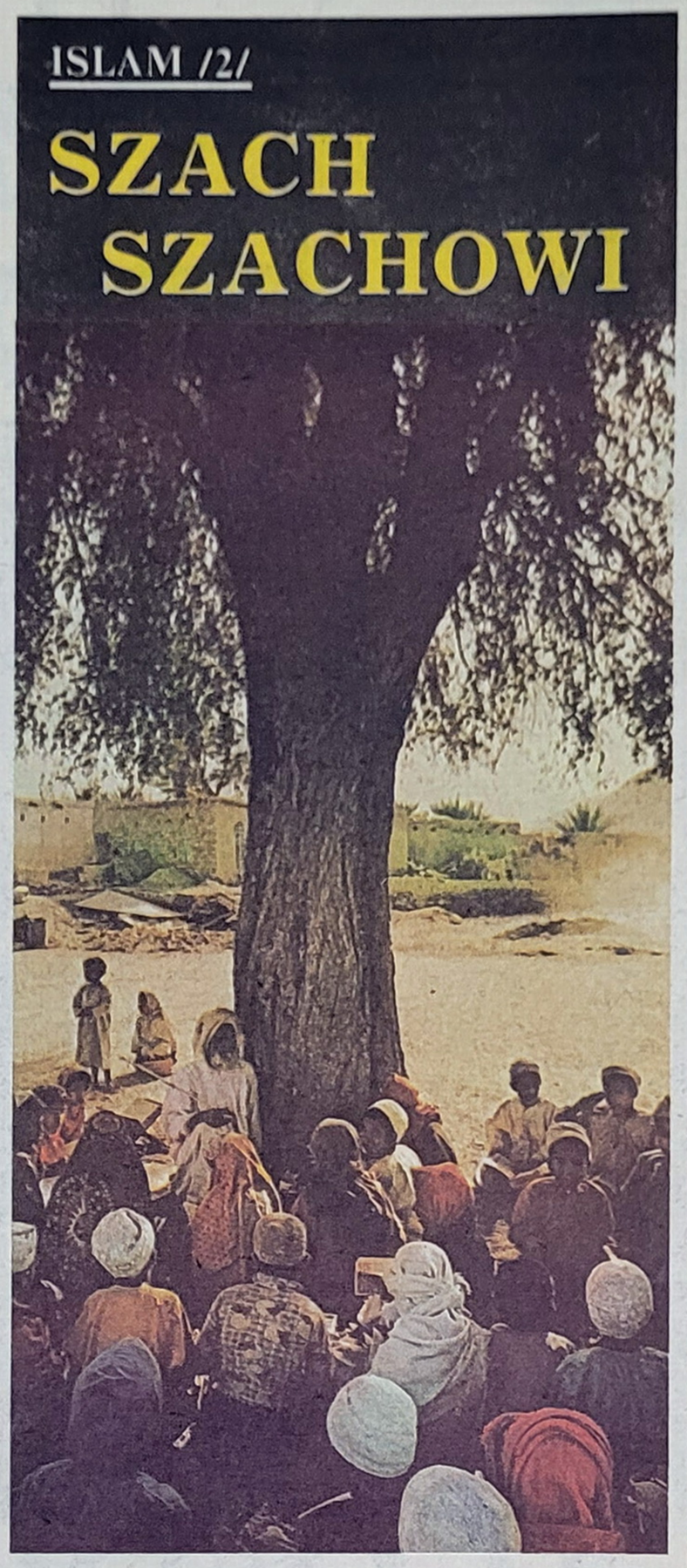

Tak jak starożytni twórcy imperiów, przywódcy Arabii Saudyjskiej rozciągnęli swoje wpływy prawie na całym świecie – na Bliskim Wschodzie, w Afryce, w najdalszych zakątkach Azji oraz nawet w kręgach finansowych St. Zjednoczonych i Europy Zachodniej. Prawie codziennie do Arabii Saudyjskiej przybywa w poszukiwaniu pomocy specjalny wysłannik ze słabo rozwiniętego kraju.

Nie ma żadnej tajemnicy, jakie są przyczyny potęgi saudyjskiej. Kraj ten posiada około 30 proc. światowych zasobów ropy naftowej. W ubiegłym roku z podziemnych złóż wydobyto ropy naftowej o wartości 40 miliardów dolarów – a pomimo tego w ziemi znajduje się jeszcze, jak się szacuje, około 500 miliardów baryłek ropy. Gdy za 20 lat skończy się ropa w szejkanatach arabskich, położonych nad Zatoką Perską, to Arabia Saudyjska nadal będzie jeszcze dysponowała ropą, która będzie stanowiła wówczas niezwykle cenny towar.

Pieniądze pochodzące ze sprzedaży ropy naftowej napływają obecnie do Arabii Saudyjskiej w takich ilościach, że kraj ten nie jest w stanie ich wydać. Pomimo tego Saudyjczycy nadal dokładają wszelkich starań, aby jednak je wydawać. Przywódcy saudyjscy zaincjowali serię olbrzymich przedsięwzięć. Buduje się na pustyni nowe miasta, trwa również budowa nowoczesnych portów, jak również dokonuje się olbrzymiej rozbudowy stolicy – Rijadu.

Obecnie prawo muzułmańskie posiada niezwykle silną pozycję w Arabii Saudyjskiej. W godzinach modlitwy, w budynkach rządowych Rijadu w olbrzymich holach, setki urzędników i gońców przerywają prace, rozścielają dywaniki na podłodze i biją pokłony do Allacha.

Jednakże podstawowym pytaniem pozostaje, czy ten sposób życia i rodzaj rozumowania przeważa w społeczeństwie. Zmiany, które obecnie mają miejsce w Arabii Saudyjskiej mogą pewnego dnia doprowadzić do wyraźnego osłabienia pozycji islamu w kraju. Napływ zachodnich technokratów, ludzi interesu oraz doradców wojskowych, jak też decyzja władz saudyjskich, odnośnie wysyłania na studia za granicę coraz większej liczby swych poddanych z pewnością prędzej, czy później zmusi Saudyjczyków do podjęcia decyzji czy nadal mogą żyć częściowo w przeszłości, a częściowo w teraźniejszości. Władcy saudyjscy mogą wówczas podjąć decyzję, odnośnie tego, czy zostaną wprowadzone odpowiednie zmiany zgodnie z wymogami nowych czasów, czy też podejmą ryzyko utraty kontroli nad swym pustynnym królestwem.

To przykład w jaki sposób posiadanie ropy naftowej wpływa na państwa i narody uznające islam za swą jedyną religię i nie tylko na te państwa. Ale religia ta nie jest całkowicie jednoznaczna. Dzieli ona bowiem swych wyznawców na wiele grup, z których najważniejsze to szyici i sunnici.

Występująca w filozofii i w mistycyzmie koncepcja boskiej hierarchii przeniknęła do islamu sunnickiego poprzez szyizm. Przywódca miałby być najdoskonalszym z ludzi, jedynym natchnionym i zdolnym pojmować, chłopi i robotnicy mieliby się podporządkować tej naturalnej strukturze społecznej. Być może tu właśnie kryje się obecny dramat świata muzułmańskiego, gdzie społeczeństwo klas, pogarda dla pracy rąk, dominacja biurokratów i klasy średniej zrodziły się zapewne z tego schematu.

To zbliżenie teologiczno-społeczne napotyka na przeszkody w prawodawstwie islamu sunnickiego, w którym praca fizyczna leży u podstaw wartości: społeczeństwo jest bezklasowe, prawo nie uznaje własności prywatnej. Wszystko, co w świecie istnieje, należy do Boga, który człowiekowi dał tylko w depozyt to, co ma. Człowiek może to używać, inwestować, nie wolno mu tego monopolizować. Państwo, w imię „wspólnego dobra", ma możliwość nacjonalizacji lub konfiskaty. Dobrze rozumiane, prawo islamskie jest prawem pozytywnym, bazującym na zachowywaniu interesów społeczności (mądrości, religii, życia, honoru i dóbr) i może w pełni bronić bieżących interesów mas muzułmańskich. Wreszcie islam sunnicki jest czynnikiem postępu. Dla wierzących mas muzułmańskich jest to bez wątpienia jedyny zrozumiały w pełni czynnik pojawiający się nie w teologii ale w prawie.

Czas teraz zapytać co to jest sunnizm, a co szyizm? Islam sunnicki ma dwie interpretacje: jedną konserwatywną, reakcyjną, której bronią władze polityczne i religijne jak również elita gospodarcza i społeczna oraz drugą, której zwolennikami są awangarda narodu i lewicowi intelektualiści. O ile pierwsza interpretacja chciałaby zachować status quo w imię prawa i porządku, o tyle druga pragnęłaby to status quo zmienić, w imię równości i sprawiedliwości społecznej. Niewątpliwie każda z tych interpretacji maskuje w rzeczywistości walkę interesów, które leżą u podstaw różnych klas społecznych, ale ideolodzy poszczególnych grup interesu wykorzystują koncepcje teologiczne dla celów politycznych i to na różnych szczeblach. Ale do czego w gruncie rzeczy sprowadzają się sprzeczności między wyznawcami Mahometa? Między szyitami a sunnitami? A więc sunnici to ci, którzy uważają się za prawowiernych muzułmanów, ponieważ wierzą w fakty dotyczące życia Mahometa, spisane z opowiadań jego towarzyszy. Natomiast szyici stanowią polityczno-religijny odłam grupujący ludzi wierzących w to, że następcą Mahometa powinien być tylko członek jego rodu a konkretnie potomek jego zięcia – Alego i córki Fatimy. Ta opozycja szyicka rozwinęła się szczególnie w Iranie, którego mieszkańcy nie będąc Arabami, pragnęli przeciwstawić się dominującej roli „dzikich ludów pustyni" w tej nowej religii.

Całe dzieje szyizmu – oficjalnej religii Iranu są przesiąknięte nieustępliwością moralną i polityczną charakteryzującą zwolenników Alego. Dzieje te zaczynają się wraz ze śmiercią Mahometa w 632 roku (tj. 10 kalendarza muzułmańskiego). Ali – kuzyn Proroka i mąż jego córki Fatimy został wówczas odsunięty od sukcesji po Mahomecie, ale koniec końców został kalifem po zamordowaniu trzeciego kolejnego następcy Proroka – Osmana ibn Affana. Walcząc z różnego rodzaju opozycją, Ali został pokonany w bitwie pod Ciffin, a następnie zamordowany w 661 roku. Zwolennicy Alego – szyici (nazwa pochodzi od słowa oznaczającego stronnictwo reguły) pozostają wierni jego potomkom, podczas gdy większość muzułmanów stała się „sunnitami" tj. zwolennikami „sunny" czyli zwyczaju.

Kler szyicki nie posiada wyraźnej struktury i trudno jest w jego wypadku mówić o hierarchii we właściwym sensie tego słowa. Ajatollahowie są równorzędni, dokooptowuje się ich i w jednym mieście jest ich zazwyczaj kilku. Znaczenie ajatollaha zależy od osobistego wpływu jaki posiadają wśród wiernych. Niemniej niektórzy z ajatollahów wznoszą się ponad pozostałymi i są w praktyce uznawani za doczesnych przywódców społeczności szyickiej.

Rola religii we współczesnym Iranie jest, w pewnym stopniu unikalna w tym znaczeniu, że jej uznani przywódcy odgrywali, począwszy od XIX wieku, rolę opozycji. Znajduje to szczególny wyraz w obecnych wydarzeniach, kiedy to przywódcy religijni zagrozili swoistym szachem, szachowi Iranu.

Dziś władcy Arabii Saudyjskiej, a także szejkowie państw znad Zatoki Perskiej, doskonale wiedzą co to jest ropa naftowa. Pytanie tylko, na ile jej starczy i komu? Święta księga – Koran jest niesłychanie elastyczna i z łatwością zawarte w niej prawa można wykorzystywać do zatrzymania „wczorajszego dnia". Bo łączy ona ludzi we wspólnej wierze, w której wszyscy są „sobie równi", ale też nie zmienia różnic między ludźmi. Szejk pozostaje szejkiem jak biedak biedakiem.

JERZY KOWALKOWSKI
Fot. autora

Nie wolno sprzątać mieszkania!

O tym, że harcerze wiele swojego czasu poświęcają na pomoc ludziom starszym nie trzeba nikogo przekonywać. Często opisywaliśmy drużyny i całe szczepy, które mają swoich podopiecznych, spotykają się z nimi, pomagają w najcięższych pracach, spędzają wieczory przy herbacie na pogaduszkach czy czytaniu książek. Bardzo często seniorzy zapraszani są na szkolne uroczystości i traktowani jak ludzie, bez których nic ważnego w szkole odbyć się nie może.

Daje to ogromną satysfakcję. Uśmiech, dobry humor starszego człowieka – jest najlepszą nagrodą. I rzadko się zdarza, by ktoś zrezygnował z opieki harcerzy, niektórzy bez nich już nie mogą wyobrazić sobie życia.

Wstęp dlatego jest taki, iż zdziwiły mnie fragmenty artykułu zamieszczonego w 1754 numerze „Przekroju". Jest tam wypowiedź pani inż. R.P., która ma lat 71 i opowiada o swoim życiu. Pada pytanie redaktor Skulskiej: „Czy nie sądzi pani, że izolowanie ludzi starszych jest sprzeczne z zasadami współżycia społecznego?" Odpowiedź: „Może. Nie widzę jednak chęci do wspólnego działania. Fałszywie ustawiono nawet formy pomocy dla ludzi starych, której mogą spodziewać się ze strony młodzieży szkolnej. Dzieciom wolno przynieść staremu emerytowi gazetę, książkę, nawet prezent z okazji święta. Gest do odnotowania w dzienniczku harcerskim. Ale pomocy w postaci sprzątnięcia mieszkania, prześcielenia łóżka, pomocy w umyciu się – nie wolno udzielać..."

Po pierwsze pomocy starszym nie udzielają tylko dzieci, ale także młodzież – często już ta pełnoletnia – z drużyn HSPS. Po drugie, dziwny jest zwrot „wolno przynieść", bo najczęściej nikt nie każe im tych prezentów przynosić, a robią to z własnej nieprzymuszonej woli, by sprawić drugiemu człowiekowi radość. Po trzecie, nikt też tego, jako dobrego uczynku, nie zapisuje w dzienniczku harcerskim, bo nigdy o czymś takim nie słyszałem. A już zupełnym nieporozumieniem jest twierdzenie, że młodzież nie może pomóc w sprzątaniu mieszkania. Otóż nie tylko sprzątają, ale potrafią mieszkanie odremontować, wymalować, robią zakupy, naprawiają sprzęt, rąbią drewno na zimę, wstawiają szyby i wyręczają rzemieślników w czym tylko potrafią. Nie wiem skąd pani inż. R.P. wie, że ktoś młodzieży wydał taki zakaz, ale jest to oczywista nieprawda.

Każdemu wolno mieć swoją ocenę pomocy jaką niesie młodzież starszym ludziom. Tylko tu nie ma ani słowa oceny konkretnych poczynań, jest natomiast krytyka „fałszywie ustawionych form pomocy dla ludzi starszych". Dziwne, kto je ustawił, jakie ma sankcje za ich nieprzestrzeganie, kto kontroluje i pilnuje, żeby nastolatek przypadkiem nie posprzątał mieszkania. Może zanim się coś wydrukuje najpierw sprawdzić, jak to przystaje do rzeczywistości.

Oczywiście, pani R.P. może być rozgoryczona. Świadczy o tym jej dalsza wypowiedź, że „Starzy garną się do młodych. Bez wzajemności. Możemy liczyć tylko na siebie". Ale czy to znaczy, że lekceważąco trzeba wyrażać się o dzieciach, które przynoszą emerytowi tylko gazetę, książkę... Może na razie to tylko potrafią, chcą to robić i wcale nie dlatego, żeby po wyjściu z domu, natychmiast zapisać to w swoim dzienniczku. Bo jeśli tak będziemy oceniać każde zachowanie, to wszystko co ludzie robią może być podejrzane, każdy sympatyczny gest może być dokładnie obliczony, wyrachowany, służyć jakimś własnym celom. Tylko czy takie widzenie ludzi ma jakikolwiek sens?

KAZIMIERZ PASEK

30 LAT MINĘŁO...

Tak, to już od 30 lat ukazuje się Harcerska Gazeta Nastolatków „Świat Młodych". Ten rok, był rokiem jubileuszowym, a więc chcieliśmy, aby nasi Czytelnicy mogli razem z nami świętować, by mogli bawić się, a przy okazji jeszcze lepiej poznać swoją gazetę i ludzi, którzy w niej pracują.

W tym okresie odbyło się wiele spotkań dziennikarzy z młodzieżą, w czasie wakacji zorganizowaliśmy IV Rajd Rowerowy 30-lecia „ŚM"; w Bielsku-Białej i całym województwie przez trzy dni odbywały się imprezy z okazji święta naszej gazety. Nadeszło wiele życzeń – telegramów, listów, kartek. W Oleśnicy, gdzie odbywało się europejskie seminarium poświęcone problemom prasy dziecięcej, redakcja otrzymała wiele prezentów, wiele serdecznych pozdrowień od redakcji pism dla dzieci i młodzieży m.in. z Bułgarii, Czechosłowacji, Finlandii, Francji, NRD, Rumunii, Węgier, Wielkiej Brytanii, ZSRR. Bardzo często naszą redakcję odwiedzały delegacje młodzieży z różnych stron kraju – to były spotkania dla nas najmilsze – można było podyskutować o tym, co jeszcze w „ŚM" powinno być, co Was interesuje, czego jeszcze chcielibyście się z gazety dowiadywać.

21 listopada br. odbyła się w warszawskim Klubie Studenckim „Stodoła" największa uroczystość – spotkanie przyjaciół naszej gazety. Tych, którzy kiedyś w niej pracowali, którzy z nami na co dzień współpracują: z drukarni Domu Słowa Polskiego, z Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, z innych redakcji pism harcerskich i młodzieżowych.

Nastrój panował odświętny, wiele osób spotkało się po raz pierwszy po kilku, kilkunastu latach. Była okazja do wspomnień, do rozmów o tym, jak to było kiedyś i jak teraz pracuje się w redakcji.

Następuje najbardziej uroczysty moment. W imieniu Rady Państwa kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR, **prof. Jarema Maciszewski** wręcza kierownictwu redakcji **Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, (na zdjęciu) przyznany „za wybitne zasługi zespołu redakcyjnego położone w działalności ideowo-wychowawczej i społecznej oraz doniosły wkład w dzieło kształtowania obywatelskich postaw młodzieży".**

Wielu pracowników zostało udekorowanych wysokimi odznaczeniami państwowymi. I tak, Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Henryk Chmielewski, Jerzy Kowalkowski, Barbara Tylicka. Złote Krzyże Zasługi: Jerzy Dąbrowski, Mieczysław Teodorczyk, Ryszard Szaniawski, Marzena Wierzcholska. Srebrny Krzyż Zasługi otrzymała Anna Grzybowiecka, a Brązowe Krzyże Zasługi Tadeusz Baranowski, Krystyna Klimowicz, Danuta Niżnik, Grażyna Nowaczyk, Kazimierz Pasek, Eugenia Pawel, Krzysztof Potrzebnicki, Barbara Skórska.

Następnie dyrektor generalny Ministerstwa Oświaty i Wychowania, **Stanisław Bohdanowicz**, przekazuje dyplom nagrody imienia **Komisji Edukacji Narodowej** przyznany przez ministra Oświaty i Wychowania dla kolegium redakcyjnego. Stanisław Borowiecki i Marian Twaróg otrzymali Medale Komisji Edukacji Narodowej.

Byłym pracownikom redakcji, współdziałającym w wydawaniu pisma pracownikom Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, drukarni Domu Słowa Polskiego, współorganizatorom akcji prowadzonych przez „ŚM" przyznano cztery złote, cztery srebrne i trzy brązowe Odznaczenia im. Janka Krasickiego, 18 Krzyży za Zasługi dla ZHP oraz srebrną i dwie brązowe odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej".

W spotkaniu brali udział m.in. z-ca kierownika Wydziału Organizacji Społecznych, Sportu i Turystyki KC PZPR, **tow. Maria Wojtkiewicz**, prezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch" **Zdzisław Andruszkiewicz**, członkowie kierownictwa polskiego ruchu młodzieżowego z wiceprzewodniczącym RG FSZMP, naczelnikiem ZHP, **Jerzym Wojciechowskim** i sekretarzem RG **Wiesławem Weitzem** oraz dyrektor i redaktor naczelny MAW Zygmunt Konopka.

Uroczystość zakończyła się krótkim koncertem Reprezentacyjnego Chóru ZHP pod dyr. Władysława Skoraczewskiego. **(pas)**

Fot. **M. Szymański**

By z orlich piskląt wyrosły orły...

Zainteresował mnie i poruszył felieton red. Ryszarda Ratajczyka pt. „Z orlich piskląt mogą wyrosnąć wrony...", zamieszczony w 122 numerze „Świata Młodych" z dnia 19. X.1978 r. Zawarte w nim myśli i spostrzeżenia są celowe i słuszne. To prawda, że zawody sportowe nastolatków są coraz lepiej organizowane, choć to zależy od wielu, bardzo wielu przyczyn. Tak też się dzieje, że w większości tych imprez startują zawodnicy już w jakimś stopniu wyspecjalizowani i pozujący na „gwiazdorów". A dzieje się tak dlatego, bo tylko za wysokie wyniki indywidualne i wąskich zespołów ocenia się szkołę i nauczyciela wf. Nie spotkałem jeszcze takich, którzy ocenialiby za masowy udział młodzieży w sportowych imprezach.

Mówi się często, że sport szkolny – ten masowy – jest podstawą i fundamentem kultury fizycznej społeczeństwa i sportu wyczynowego. Jakaż to wątła i tania podstawa! Czy ktoś pokusił się kiedyś, aby obliczyć ile wydaje się złotówek na sport szkolny, na jednego ucznia, a ile na jednego, często miernego wyczynowca? Są to wydatki kompromitująco różne. Codziennością w sporcie szkolnym są też takie paradoksy, jak ten: żeby zakupić cztery komplety wiązań do nart biegowych, musiałem uzyskać zgodę kuratora oświaty i wychowania...

Odnoszę wrażenie, iż wszelka masowość sportu szkolnego, tego „na dole" potrzebna jest statystyce, którą jakże chętnie posługują się organizatorzy imprez wojewódzkich i centralnych. W tej „masowości" wyróżnia sie oczywiście najlepszych. A są nimi najczęściej ci, którzy mają dobre warunki (sprzęt, urządzenia treningowe, pełną obsadę nauczycieli wf, instruktorów i trenerów) i zajmują się grupką szkolnych talentów, a nie sportem masowym. Czy w szkole, w której uczą się finaliści zawodów centralnych, wszyscy uczniowie startują choćby w lekkoatletycznym czwórboju? Wydaje się, że nie. Nie masowość sportu jest więc ważna, a tylko pogoń za jak największą ilością punktów, wysokich ocen i nagród. Stąd rodzą sie ci „gwiazdorzy", o których pisze autor felietonu, pozbawieni osobistych przyjemności wyżycia się w sporcie,

(niestety, ale tylko chłopcy) mają swoje rekordy życiowe w konkurencjach czwórbojowych i w innych. Na zajęciach wf, SKS i zawodach starają się je poprawić i poprawiają. Dziś chcą być lepsi, niż byli wczoraj. I to jest prawidłowe i cenne. Pracuję ze wszystkimi, nie wybieram „gwiazdorów" i bywa, że dopiero po kilku latach dowiaduję się o sportowych sukcesach swoich wychowanków. To nic, że dopiero gdzieś tam w średniej szkole i na uczelni wygrywają zawody, zdobywają sportowe laury. Mam bowiem satysfakcję, że sportem zainteresowali się w mojej szkole, że wyrośli ze sportu masowego, że poczuli smak sportowej rywalizacji w szkolnych imprezach. I taka powinna być droga rozwoju sportowych talentów w lekkoatletyce.

Wiele do życzenia pozostawia ocena wysiłku nauczyciela wf i jego wychowanków. Ileż w swojej nauczycielskiej i wychowawczej pracy napisałem sprawozdań i wypełniłem statystycznych druków! Moje i moich wychowanków wyniki były i są w tych, często przy różnych okazjach wymienianych, milionach uprawiających sport. Ale nikt – oprócz nas samych i naszych najbliższych – nie mówi i nie pisze o tym wysiłku, nie wspomni nawet o tym, że nasi chłopcy cieszą się z każdego urwanego ze swojego rekordu centymetra lub dziesiątej części sekundy. Nikt też z „wysokich oceniających" nie interesuje się tym, że obok domów chłopcy robią sobie stojaki do skoku wzwyż i skocznie do skoku w dal, i uparcie ćwiczą, by poprawić wynik; że często gromadzą się przed tablicą, na której widnieją ich sportowe rezultaty, porównują je i dyskutują zażarcie... Nie, nie są wytrenowanymi i znudzonymi „gwiazdorami". Sporządzone przeze mnie tabele ocen są tak skonstruowane, że każdemu prawie uczniowi opłaca się walczyć o lepszy wynik.

Mówi się i pisze szeroko o tych, którzy wygrywają finały krajowe i międzynarodowe. Ale nie mówi się i nie pisze o takiej pracy jak nasza, która dopiero po latach owocuje. Tyle tylko, że owoce zbiera już ktoś inny. Nie pochwalam, ale też nie bardzo dziwię się więc tym, którzy – zajmując się wąską grupką talentów – pracują dla wyniku i wysokiej oceny. Ktoś, kto z małą grupką zawodników solidnie popracuje – nawet w gorszych warunkach szybko uzyska wysokie wyniki i... zaszczyty, nagrody, sławę. A przy tym nie martwi się o tych, którzy strącają poprzeczkę na wysokości 50 cm, choć i oni sport chcą uprawiać.

I jeszcze uwaga do czwórboju. Ocenia się szkoły za wyniki zespołowe chłopców i dziewcząt. W mojej szkole od lat sam prowadzę zajęcia i organizuję zawody czwórbojowe. Dla dziewcząt nigdy nie było nauczyciela wf na pełnym etacie. Skutek tego jest taki, że wyniki sportowe dziewcząt prawie zawsze były i są znacznie gorsze od wyników chłopców. W efekcie nasza szkoła, mimo dobrych wyników sportowych chłopców, nie ma szans na wysoką ocenę. Wydaje się, że słuszniej byłoby oceniać szkołę za jeden tylko zespół – chłopców lub dziewcząt, uwzględniając również masowy udział uczniów w szkolnych zawodach czwórbojowych. Obecnie obowiązujący regulamin czwórboju mobilizuje do pracy, ale tylko z grupkami małymi. I to też jest przyczyna, że w wielu szkołach „hoduje" się wyczynowców dla zdobywania punktów i laurów.

mgr TADEUSZ ŚWIĘCH
Maków Podhalański

Fot. **J. Łopuszyński**

Spróbuj porozmawiać poważnie

Odpowiadam na pytanie Ani z jednej z „Poczt". Wydaje mi się Aniu, że powinnaś wziąć mamę na poważną rozmowę. Poprosić, aby Ci opowiedziała o swojej młodości, a gdy skończy – zasypać ją argumentami, że przecież chłopak to też człowiek, że wolno Ci mieć swojego przyjaciela. Może wtedy mama zrozumie Ciebie. Daję Ci tę radę, gdyż sama byłam w podobnej sytuacji a po takiej rozmowie, mama całkiem się zmieniła. Jeżeli to poskutkuje, napisz do „Świata Młodych" – czy Ci się powiodło.

Marta

Odpowiedź redakcji

W numerze 127 „Świata Młodych" w artykule „Zasady dyrygentury" pisaliśmy o pracy kontrolerów ruchu na warszawskim lotnisku Okęcie i zasadach naboru do szkół kształcących młodych ludzi do tego zawodu. Temat ten, jak się okazało, zainteresował sporą grupę naszych Czytelników. Spełniając ich prośby podajemy adres instytucji odpowiedzialnej za kierowanie kandydatów do ośrodka szkoleniowego w Rzeszowie:

Zarząd Ruchu Lotniczego i Lotnisk Komunikacyjnych, Warszawa, ul. Żwirki i Wigury 1A

Jednocześnie przypominamy, że we wspomnianym artykule podaliśmy zespół podstawowych wymogów, bez spełnienia których nie ma sensu składanie ofert do Zarządu. Należą do nich: ukończona co najmniej szkoła średnia, uregulowany stosunek do służby wojskowej, dobry stan zdrowia i dobra znajomość języka angielskiego. Kandydaci zobowiązani są również do odbycia badań medycznych i psychotechnicznych w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej. Dopiero po tej wstępnej klasyfikacji kandydatów kierowani są oni na pięciomiesięczny kurs szkoleniowy. Po jego zakończeniu uzyskuje się prawo praktyki w zawodzie, oczywiście niekoniecznie na lotnisku Okęcie. Dalszy awans zawodowy zależy od zdobywania coraz wyższych kwalifikacji: odbywa się to w systemie szkolenia wewnętrznego. **(mz)**

UWAGA! Po przeczytaniu zainteresuj tym artykułem swego wychowawcę lub któregoś z nauczycieli. Może zechcą napisać do nas, co sądzą o poruszanych w nim sprawach? A może i Ty napiszesz? Czekamy na opinie!

EKSPERYMENT „DZIESIĘCIU SZKÓŁ"

Entuzjazm czy paragraf ?

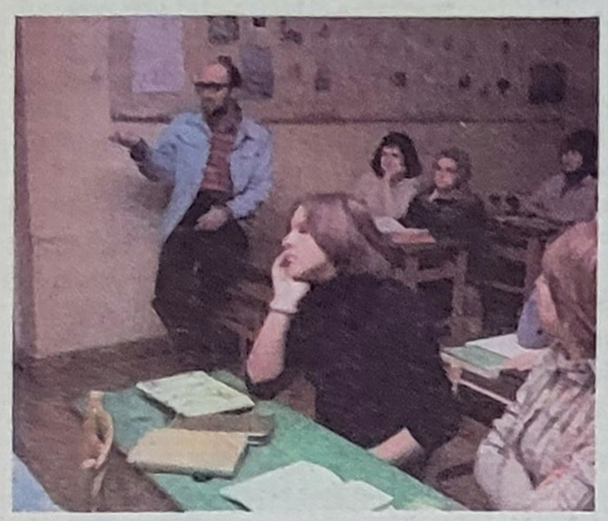

Z matematykiem dr Jerzym Bednarczukiem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego, a jednocześnie nauczycielem w liceum, rozmawia Tomasz Kłosowski.

Twórcy eksperymentu, którego założenia niedawno prezentowaliśmy w „ŚM" widzą w młodym człowieku siedzącym w szkolnej ławce kogoś, kogo stać na więcej, niż posłuszne ładowanie w siebie mnogości informacji, których często nie rozumie. I którego – co gorsza – są mu obojętne. Zakładają, że w każdym tkwią jakieś, nieraz trudne do wykrycia, możliwości, a proces nauczania powinien się opierać na rozwijaniu owych autentycznych zainteresowań i uzdolnień, a nie na „ładowaniu" wiedzy do głów i mierzeniu potem ich zawartości tą samą, od dawna nie zmienianą miarką.

TOMASZ KŁOSOWSKI: – Powyższa, w skrócie wyłożona myśl, nie stanowi żadnej rewelacji. Dostrzeganie i rozwijanie uczniowskich zainteresowań czy uzdolnień – to chyba i dzisiaj obowiązek nauczyciela. Co pan o tym sądzi po siedmiu latach nauczania w szkole?

JERZY BEDNARCZUK: – Niestety, współczesna szkoła to przede wszystkim statystyka; jej podporządkowane jest wszystko. Ucznia ocenia się według średniej uzyskanych ocen. I gdzie w takiej sytuacji ma być miejsce dla ujawniania prawdziwych zainteresowań? Ta średnia przecież wszystko przesłania. „Ma 4,3 – o, to dobry uczeń!" A ja pytam – czy za tym kryje się coś wartościowego?

Uczniowie potrafią zdobywać dobre stopnie, choć mało z przedmiotu rozumieją. Chyba dlatego, że do zdobycia takiego stopnia często wystarcza wiedza szczegółowa i umiejętności czysto mechaniczne. Weźmy matematykę, rachunek pochodnych... Liczyć, to oni te pochodne liczą, rozwiązują biegle zadania. Ale rozumieć, co to jest pochodna, jej znaczenie dla rozwoju matematyki i fizyki – o, na to niewielu stać...

Według tej średniej ocenia się też nauczyciela. Co z tego, że niby rozwijanie zainteresowań jest jego obowiązkiem, skoro nie z tego jest rozliczany? Czy zresztą fakt, że nauczyciel odkrył i rozwinął zainteresowania swoich wychowanków, można i trzeba wyrażać jakimś wskaźnikiem? Taki uczeń, który dzięki umiejętnym zabiegom pedagoga zakochał się np. w matematyce, a z innych przedmiotów stał się „taki sobie", jeszcze mu tę nieszczęsną średnią psuje. A nauczyciel, niestety, zmuszony jest gonić za wysoką średnią...

Tę tendencję do uzyskiwania jak największej ilości dobrych stopni trzeba zwalczać. Staram się to robić w swojej klasie, a zaczynam od rozmów z rodzicami. bo ich też zwykle najbardziej interesuje, jakie zbiera dziecko oceny. A czy coś naprawdę umie – to już schodzi na drugi plan. I zdarzają się takie absurdalne sytuacje, że np. tata obiecuje synowi na koniec roku motocykl, o ile ten wykaże się dobrymi stopniami ze wszystkich przedmiotów. A ja tymczasem widzę, że tak naprawdę chłopaka interesuje fizyka. Więc mówię mu: ucz się tej fizyki, jak będziesz miał tylko z niej mocną piątkę, ja z tatą porozmawiam, może ci kupi ten motor...

T.K.: – **Czy to znaczy, że skorośmy już u kogoś zainteresowanie jakimś przedmiotem odkryli, to trzeba mu pozwolić zajmować się tylko nim, a resztę rzucić w kąt?**

CIĄG DALSZY NA STR. 5

WARSZAWSKI KLUB GO FSZMP

„Nie pozwólcie umysłom gnuśnieć, grajcie w GO"
Konfucjusz

JEST NAS CORAZ WIĘCEJ

W Waszych listach często pojawia się pytanie, skąd wywodzi się nazwa **GO**. Wyjaśniamy, że nazwa gry pochodzi od słowa „Igo", co po japońsku znaczy otaczać, zabijać kamienie („go" – to po japońsku kamień). A więc słowo **GO** nie jest skrótem i czytamy je tak jak się je pisze.

Przepisy gry, o które prosicie zostały już powielone. Są one stopniowo wysyłane do zainteresowanych. Wszystkich tych, którzy nie dostali ich jeszcze prosimy o wybaczenie. Tymczasem proponujemy, byście zwracali się do już istniejących klubów i ośrodków **GO**.

Chcielibyśmy Was gorąco zachęcić do zakładania nowych klubów **GO**. Piszcie nam o trudnościach i sukcesach na tym polu. W ramach naszych możliwości będziemy starali się Wam pomagać. Pomoc ta obejmować może również udostępnianie literatury specjalistycznej. Jesteśmy też w stanie organizować prelekcje i seanse gry jednoczesnej (symultany) z udziałem najlepszych graczy w Polsce. Pragnęlibyśmy także służyć radą i pomocą w organizacji turniejów, zarówno w ramach poszczególnych klubów, jak też mających szerszy zasięg.

Będziemy również informować Was o aktualnych wydarzeniach związanych z **GO** w kraju i za granicą. Możemy też umożliwić Wam nawiązywanie kontaktów z graczami w Polsce i w innych krajach.

Piszcie więc. Każdy Wasz list będzie przeczytany!

A OTO ADRESY KLUBÓW I GRACZY Z KILKU MIAST W POLSCE:

Warszawski Klub GO, Warszawa Al. Jerozolimskie 2
(gramy w poniedziałki i środy w godz: 17 – 23)

Katowice, klub „Cumulus" ul. Mieszka I 15
(piątki w godz. 18 – 22)

Katowice, klub „Kubuś", ul. Bankowa 12
(poniedziałki, 16 – 20)

Słupsk, p. Wł. Malinowski, ul. Nadmorska 28/3

Olsztyn, p. L. Sołdan, ul. Długosza 3/7

Kudowa Zdr., p. P. Banaś, ul. Zdrojowa 35.

JERZY SACHAREWICZ

Starojapońska rycina będąca ilustracją do starej legendy związanej z GO

PRERIA W MUZEUM

Muzeum wcale nie musi być miejscem dostojnym i zakurzonym. W czasie swoich wędrówek po Stanach Zjednoczonych natrafiłam na takie, które już dawno pożegnało się z oszklonymi gablotami i niezbyt przyjemnym zapachem zapastowanych posadzek. W Milwaukee w stanie Wisconsin jest dosłownie „muzeum wszystkiego".

Zwiedzanie zaczyna się od sali najwcześniejszych dziejów naszej planety. Dalej, poprzez cywilizację tak zwanego Starego Świata, czasy rozwoju handlu, początki wypraw badawczych i wielkich odkryć, aż do „Świata Nowego", ukazującego życie osadników z Europy, którzy po przybyciu na kontynent północnoamerykański wędrowali z wybrzeża wschodniego ku zachodniemu, osiedlając się po drodze. Jest tam wszystko – od procesów geologicznych ziemi począwszy, poprzez rozwój różnych religii, do epokowych osiągnięć techniki.

W oddzielnym skrzydle budynku mieści się kompleks zatytułowany „Cud Życia" – ekspozycja ukazująca klasyfikację różnych jego form, wzajemnych związków i środowiska, w którym występuje.

„Gdy mówi się o rozwoju cywilizacji, należy pokazać także ludzi, którzy ją budowali. A więc osobne skrzydło to wystawa zatytułowana „Świat i ludzie". Obejrzeć ją dokładnie to prawie tyle, co przemierzyć Amerykę, Arktykę, Azję, Oceanię i oceany świata, oraz Europę i Afrykę – poznając wszędzie środowisko i kulturę" – mówi pracownik muzeum.

To, co oglądamy ma nieodparty i niezapomniany urok. Ekspozycja wygląda bowiem zupełnie inaczej niż tradycyjne wystawy, do jakich przywykliśmy. Właściwie trudno tu nawet mówić o eksponatach. Wszystko porusza się, „żyje" i przemawia do nas. W specjalnie do tego celu przeznaczonych pomieszczeniach eksponaty pokazano w taki sposób, aby oddziaływały na zmysły ludzkie, przede wszystkim na wzrok, lecz nie tylko. Często, aby sprawić wrażenie autentyczności, angażuje się również zmysły słuchu i węchu. W efekcie zostaje stworzone wrażenie, że muzeum rzeczywiście tętni życiem dawnych epok. Znalazłszy się wewnątrz, długo nie można się przyzwyczaić do jego wyjątkowości i oryginalności.

Wchodzimy, na przykład, do zaciemnionej sali. Nagle zapala się światło nad czymś, co przypomina scenę. Przed nami roztacza się szeroka panorama równin amerykańskich, a na nich z rozmachem odtworzona scena polowania Indian na bizony. Wydaje nam się, że rozpędzone stado za chwilę może nas stratować. Słyszymy już tętent kopyt i okrzyki Indian, którzy uzbrojeni we włócznie wpadają na swoich koniach między rozjuszone zwierzęta. Wszystko to „odbywa się" na tle amerykańskiego nieba, wśród typowej dla obszarów równin amerykańskich ubogiej roślinności.

Inne plemiona indiańskie, na przykład plemię Hopi, przedstawione zostały w sytuacjach o wiele spokojniejszych. Można tu przyjrzeć się z bliska codziennemu ich życiu, wdrapując się po drabinie na pięterko indiańskiego pueblo. Naturalnej wielkości manekiny przedstawiające członków plemienia zastajemy w pozach charakterystycznych dla codziennych czynności domowych. Sceny z pueblo ilustrują życie szczepu sprzed około 100 lat. Oto ojciec, siedząc na dywaniku, przędzie. Matka wraz z córką pracują przy palenisku. Widoczne obok kobiety krzątają się przy pieczeniu „piki" i mieleniu ziarna. Schodzimy po chybotliwej drabinie i trafiamy do „kiva" – specjalnego pomieszczenia, w którym odbywały się ceremonie religijne Indian Hopi. Wewnątrz znajduje się ołtarz ozdobiony indiańskimi malowidłami.

Przechodzimy dalej i jeżeli tylko mamy na to ochotę, możemy wejść do eskimoskiego igloo, zajrzeć do japońskich sklepów, albo pospacerować w japońskim ogródku; wejść do domku, gdzie właśnie odbywa się ceremonia zaparzania i picia herbaty. Gdy chcemy – możemy znaleźć się w zupełnie innej scenerii – w Indiach, na bazarze w Delhi, pośród nawoływań handlarzy i hałasu rozkle-

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Repr. **K. Adamowski**

W POGONI ZA LISEM

Zaczęło się u wrót golubskiego zamku tradycyjnym hejnałem myśliwskim. A potem dalej w pole, za chytrym, szybko umykającym lisem. Kto zostanie królem polowania? Komu przypadnie tytuł najzręczniejszego jeźdźca sezonu i ruda kita ściganego „zwierza"?

W Golubiu-Dobrzyniu w pierwszą niedzielę listopada odbył się tradycyjny konny bieg Hubertusa, patrona myśliwych. Kilkudziesięciu zawodników w barwach klubów jeździeckich z północnej Polski stanęło do zmagań z reprezentacją gospodarzy. Ogon lisa z ramienia jeźdźca na najszybszym koniu zerwał najmłodszy i ... najlżejszy myśliwy. Dla zmęczonych koni nie zawsze liczy się rozwaga i doświadczenie – czego dowodem upadki seniorów zawodów. Najmniej ważących zawodników wystawili goście – oni też wygrali. Golubianom na rewanż wypadnie poczekać cały rok... **(mz)**

Fotografował
MAREK SZYMAŃSKI

FAMILIJNY ZJAZD RODZIN MUZYKUJĄCYCH

„Zielonym kalinom i klonom, tobie i sobie śpiewam"

W. Broniewski

Na III Spotkaniach Muzykujących Rodzin organizowanych przez Wojewódzki Dom Kultury we Wrocławiu dla wrocławian śpiewały i grały 63 rodziny z 32 województw. Każda rodzina to zespół, w którym razem muzykują i bawią się rodzice i dzieci, dziadkowie i wnuki. Rodzinny dom, jest miejscem, gdzie odbywają się próby i gdzie daje się występy z okazji spotkań i uroczystości rodzinnych. Gdy już wszyscy domownicy wrócą z pracy, ze szkoły, po odrobieniu lekcji i różnych domowych zajęć, późnym wieczorem i w każdy dzień wolny od pracy – rozpoczyna się muzykowanie. Gdy rodzinny zespół składa się z dorosłych osób, przyjeżdżają do jednego domu, pokonując różne trudności czasowe i dojazdowe.

Pokonują też wszelkie trudności ze sprzętem, repertuarem. Często sami robią instrumenty lub kupują za wspólnie uskładane pieniądze, a w doborze repertuaru są bardzo samodzielni – po prostu piszą i komponują sami. **„Nie zawsze jest on najlepszy** – mówi pan Gruszczyński z Opalenicy kierownik czteroosobowego zespołu instrumentalno-wokalnego – **ale lubimy sami układać piosenki"**.

Wśród tegorocznych uczestników Spotkań były zespoły z różnych środowisk i zawodów, grające różną muzykę. A więc był rolnik, technik budowlany, kolejarz, gospodyni domowa, mechanik, księgowa, tkacz, elektryk; rodziny ze wsi, małych miasteczek i wielkich miast. Grali na 20 różnych instrumentach, przy czym wielu grało na dwóch, trzech a nawet czterech instrumentach. Słyszeliśmy obok muzyki poważnej, ludową, dyskotekową, piosenki satyryczne w wykonaniu kapel podwórkowych, i muzykę cygańską. Koncerty były więc bardzo urozmaicone i obfitowały w częste zmiany nastrojów. Jedno było wspólne i niezmienne w tych wszystkich występach: autentyzm, szczerość wykonania i jako odpowiedź ze strony słuchaczy – przyjęcie z wielkim aplauzem. Wykonawcy i widzowie swobodnie bawili się, odpowiadali oklaskami i okrzykami na dowcipne przyśpiewki, żądali bisów. A po występie – rodziny i widzowie toczyli rozmowy, oglądali stroje ludowe i instrumenty, udzielano sobie porad, chwalono i wypytywano o sposoby grania, nauki. W przerwach koncertów zaproszeni fachowi konsultanci rozmawiali i radzili z każdym, kto chciał zasięgnąć informacji.

Obok ludzi starszych i dorosłych bardzo wiele było młodzieży i dzieci. Większość z nich to uczestnicy bądź uczniowie ognisk i szkół muzycznych. Rodzice zachęcili do muzykowania, uczyli początków, a teraz dzieci potrafią już pomóc rodzicom. Tylko starzy skrzypkowie ludowi są niedoścignieni w swojej perfekcji. „Oni rzeźbią swoją muzykę" – mówił pan Domański z Polskiego Radia znawca i wielbiciel muzyki ludowej.

Rodzina Seroków z Łowicza – to zespół instrumentalno-wokalny, który powstał w rodzinie o bogatych tradycjach muzykowania. Krzysztof, Wiesław i Dariusz mają po lat 12, 13, 6 i Ewa lat 10, grają na fortepianie, organach, skrzypcach, marakasach i wszyscy śpiewają.

Rodzina Pomianów z Wrocławia – trzech braci, kuzyn i kuzynka młodzi ludzie, a Ania ma lat 8 – grają i śpiewają, także poezję: wiersze Słonimskiego, Iłłakowicz, Baczyńskiego. Trudno wymienić wszystkie, choć każda z 32 rodzin muzykujących miałaby coś ciekawego do przekazania innym.

Ci wszyscy ludzie – starzy i młodzi, młodzież i dzieci znaleźli we wspólnym muzykowaniu dużo radości dobrze im jest ze sobą, z muzyką, dobrze im jest w domu rodzinnym.

T. DĄBROWSKA

- **Wszystkie rodziny występowały przez 3 popołudnia na estradzie Domu Kultury Budowlanych**
- **Dały 17 koncertów w zakładowych i dzielnicowych domach kultury**
- **Koncert w Teatrze Kameralnym pt. „Śpiewamy o Wrocławiu"**
- **Koncert na pl. Solnym rodziny cygańskiej Siwaków, z którego dochód przeznaczono na Centrum Zdrowia Dziecka**
- **Koncert rodziny Stefańskich-Łukowiczów zawodowych muzyków z Krakowa w Filharmonii dla uczestników Spotkań**
- **Rodziny zwiedzały Wrocław autobusem „Fredruś" i starymi tramwajami „Jaś" i „Małgosia"**
- **Rozlosowano wśród rodzin upominki ufundowane przez władze i instytucje kulturalne – Ministerstwo Kultury i Sztuki – pianino, Wojewody – akordeon, oraz gitary, werbel, perkusję, trąbkę.**
- **Każda rodzina otrzymała na pamiątkę akwarelę Marii Gostylla-Pachuckiej, artystki plastyka, która wystąpiła także w trio rodziny Pachuckich.**

Entuzjazm czy paragraf?

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

J.B.: – Nie, z innych dziedzin trzeba mu dać jakieś podstawy, ale nie wymagać, żeby zaraz miał piątki. I sprawiać, żeby nie tkwił w przekonaniu o własnej niskiej wartości z powodu ich braku.

T.K.: – **Twórcy eksperymentu chcą zastąpić wkuwanie nauczaniem zbliżonym raczej do pracy badawczej. Służy temu m. in. inna organizacja pracy na lekcji, zachęca się do korzystania z różnych źródeł, przedstawia chętnym ciekawe zadania. No i są sesje młodych przyjaciół nauki...**

J.B.: – Te sesje, to znakomity pomysł!

T.K.: – **Może więc wyjaśnimy dokładniej, na czym rzecz polega. Oto co jakiś czas uczniowie z kilku szkół, wybrani przez kolegów, spotykają się w jednej szkole, gdzie referują pewien z góry zadany temat. Obrady są prowadzone w sekcjach – dotychczas wyodrębniono trzy: matematyczno-fizyczną, przyrodniczą i humanistyczną. Na obradach w każdej sekcji występują więc grupy przedstawicieli różnych szkół, ale zajmują się tym samym tematem. Na przygotowanie się jest zwykle kilka dni, w ciągu których trzeba sięgać do rozmaitych źródeł, przygotować zajęcia, doświadczenia itp. Dzięki temu uczestnicy sesji uczą się nie tylko z podręcznika...**

J.B.: – ... i uczą się pracować z innymi! Wymieniają myśli, dyskutują. Mogą zobaczyć, jak się te same zagadnienia omawia w innej szkole. To wyjście z własnej szkoły, te rozmowy w tzw. kuluarach – są tu najcenniejsze. Zwłaszcza, że sesje mają być organizowane tak, by spotykali się uczniowie różnych szkół – np. szkoły stołecznej z gminną. I dobrze będzie, gdy się taki warszawiak przekona, że tam, w wiejskiej szkole, jest ktoś o podobnych, a czasem dużo głębszych zainteresowaniach. Ale najważniejsze, że tu uczy się on poruszać między innymi ludźmi. A same zagadnienia omawiane w referatach są drugorzędne. Ja np. w swojej pracy matematycznej nie kładę nacisku na to, żeby uczeń umiał udowodnić to i to twierdzenie, ale chcę nauczyć kilku powiązanych ze sobą rzeczy: logicznego myślenia, formułowania i przekazywania myśli w sposób uporządkowany oraz samodzielnego wyszukiwania w literaturze tego, co go interesuje. Gdy zakończę jakiś dział, nie mówię: „Rozwiążcie zadanie 105 a, b, c," tylko: „Rozwiążcie dwa ciekawe zadania na ten temat i podajcie źródło..."

T.K.: **Zaczynamy więc mówić o pracy pedagogów... Przed tą rozmową odbyliśmy spotkanie z nauczycielami, pracującymi już od pewnego czasu w systemie eksperymentalnym. Wskazali oni na kilka interesujących spraw.**

J.B.: – Przede wszystkim na to, że całe przedsięwzięcie opiera się na osobowości nauczyciela. Na jego inwencji, umiejętności działania, gotowości wprowadzania zmian. Bez nich nie ma szans na wprowadzenie w życie założeń eksperymentu.

Z drugiej jednak strony, każdy nauczyciel stosuje inne metody nauczania, metody prowadzenia lekcji, metody popularyzowania swego przedmiotu. Może mu jedynie nie wystarczyć ciekawych pomysłów. I tu właśnie widzę miejsce dla zastosowania wyników eksperymentu: w prezentowaniu nauczycielom propozycji atrakcyjnych metod nauczania. Które z nich wybiorą, a które odrzucą – niech to pozostanie kwestią ich uznania. Nie można mechaniczne wprowadzać w życie nawet najbardziej udanych pomysłów metodami administracyjnymi: „Wydamy zarządzenie, żeby od jutra wszyscy..."

Jest to właśnie sposób na unicestwienie całego przedsięwzięcia. Wprowadzić ostre przepisy – i wszystko weźmie w łeb! Przecież praca według nowych założeń wymaga od nauczyciela większego wysiłku. Tu się nie da działać według schematu. Trzeba ciągle mieć pomysły, każdego ucznia traktować trochę inaczej. Ci, którym się to nie uśmiecha, łatwo będą mogli sprowadzić wszystko do absurdu. Przyjdzie zorganizować sesję – zorganizują, ale taką, że nam się wszystkiego odechce, a zwłaszcza uczniom, którzy będą przed wyjazdem wkuwać, a potem odklepywać nieudane referaty. Gazetki, mapy zainteresowań, korespondencja – to wszystko będzie, a jakże – ale na pokaz. Rozmawiający z nami nauczyciele i uczniowie wskazywali, że już tak się dzieje...

I jeszcze jedno: podsuwanie jakichkolwiek metod na nic się nie zda, jeżeli nie będzie warunków dla ich realizacji. I to nie tylko w tych wytypowanych dziesięciu szkołach. Nauczyciel przecież jest zwykle traktowany jak maszynka do „przerabiania" z góry ustalonych tematów w z góry ustalonej kolejności, i w z góry ustalonym czasie. I niech tylko spróbuje coś zmienić!

Jakże często wizytujący lekcję fachowiec podsumowując ją potem mówi ze zgrozą: „Panie kolego, pan przestawił kolejność tych dwóch tematów!"

Dopóki tego nie zmienimy, to możemy sobie eksperymentować. Ostatnio jest to przecież takie modne...

GWIAZDOZBIÓR

Pewność siebie i sukces, czyli Ryan O'Neal

Do Ryana O'Neala wzdychają dziewczęta z całego świata. Tak się dzieje od czasów słynnego filmowego melodramatu „Love story", kiedy serca, szczególnie żeńskiej części widowni, podbił młody, wysportowany, niebieskooki blondyn o ujmującym uśmiechu – czyli zdolny, czuły, romantyczny i wierny Oliwer. Zanim jednak Ryan został wcieleniem ideału współczesnego chłopaka dla setek tysięcy nastolatek i... ich matek, mniej lub bardziej otwarcie roniących łzy na tym filmie przeszedł długą i niełatwą drogę.

Miał siedemnaście lat, był na utrzymaniu rodziców: ojca – pisarza Charlesa O'Neala i matki – aktorki Patrycji Calaghan, kiedy postanowił się usamodzielnić. Jak wielu amerykańskich chłopców, niedostatek wykształcenia i doświadczenia pokrywał tupetem i wiarą we własne siły.

Zaczął od listu adresowanego do producenta TV, który właśnie dobierał statystów do wieloodcinkowego serialu o Wikingach.

„Mam sześć stóp wzrostu i z doczepioną brodą wyglądam jak Wiking. Proszę nie odrzucać mojej kandydatury. Mogę być Gary Cooperem jutro".

Ryan dostał tę pracę i przypadł do gustu reżyserowi. Wystąpił aż w 39 epizodach tego serialu. Pozostał w Hollywood, decydując się ostatecznie na aktorską przyszłość. Okres terminowania był długi i niewdzięczny – musiał godzić się na każdą pracę, by móc opłacić wynajęte mieszkanie. Kierowca, kelner, statysta... traktował te zajęcia jako małe kroczki ku przyszłej karierze, w którą wierzył mimo wszystko.

Wreszcie wielka chwila nadeszła. Zauważono go w małej roli w TV serii „Empire". Następstwem była pierwsza poważna propozycja – główna rola w melodramacie pt. „Peyton-Place". Film stał się telewizyjnym przebojem, a nazwisko O'Neal stało się znane w kręgach potentatów TV. Jego popularność utrwaliła się jeszcze dzięki roli syna rodziny, Rodneya Harringtona.

Gorzej było z filmem. O'Neal zagrał wprawdzie w filmie fabularnym „Igrzyska", ale został przez widownię źle przyjęty. Zapewne wolałby zapomnieć o tym filmie – swojej porażce, gdyby nie to, że poznał wtedy autora scenariusza „Igrzysk" – profesora uniwersytetu Yale – Ericha Segala. Następnym jego scenariuszem była bowiem właśnie „Love story" – wzruszająca historia miłości Jenny (grała ją eks-modelka Ali Mac Graw) i Oliwera; miłości, którą przerywa śmierć. W roli Oliwera Segal widział wyłącznie O'Neala i rzeczywiście film stał się kasowym przebojem (pobił rekord „Przeminęło z wiatrem"), a powieść napisana na podstawie scenariusza światowym bestsellerem.

W tym momencie, właściwie u szczytu sławy, O'Neal wykazał się dużą dojrzałością i umiejętnością krytycznej samooceny. Zdecydował, że musi się jeszcze szkolić. Przyjął więc drugoplanową rolę w filmie „Dzicy jeźdźcy", by zagrać u boku Williama Holdena, doświadczonego aktora, którego podziwiał. Spróbował też swych sił w komedii i wykazał się na tym polu sporym talentem.

Jednym z jego późniejszych ważnych filmów był „Papierowy księżyc" w reż. Petera Bogdanowitha, który również i u nas w Polsce cieszył się dużym powodzeniem. Ze swoją córką, debiutującą wówczas 9-letnią Tatum, zagrali parę oszustów handlujących Biblią. Ta rola przyniosła małej Tatum Oscara. Dziś jej kariera filmowa toczy się niezależnie od ojca. Po raz drugi oglądaliśmy sympatyczny rodzinny duet niedawno, w filmie pt. „Nickelodeon" – opowiadającym o początkach kina w Ameryce. A wkrótce już samego Ryana O'Neala będziemy podziwiać w wojennym filmie „Most za daleko" jako generała Gawina.

Ostatnio aktor ten powrócił do swej roli sprzed lat i będzie znów Oliwerem, tyle że starszym, w II części „Love story" pt. „Historia Oliwera", a także występuje razem ze słynną Isabel Adjani w jej pierwszym amerykańskim filmie – „Kierowca".

Z prywatnych ploteczek: Ryan podobno bardzo dba o kondycję, przy czym ze sportów – preferuje boks. Ma kolosalne poczucie humoru. Kariera Tatum bardzo go cieszy i ma nadzieję, że jego młodszy syn Gryffin, który również zaczął grać w filmie, okaże się też zdolny.

Oprac. EWA BIELSKA

DOM MODY świata młodych

KILKA KOLORÓW RAZEM

Mimo zapowiedzi doszłam do wniosku, że nie będę zamieszczała tym razem tzw. serialu włóczkowego w stylu ubiegłorocznym, tj. kilka poświęconych temu tematowi odcinków po kolei. Będzie ich tylko kilka, ale przeplatane innymi. Po pierwsze dlatego, że chyba (i niestety!) nie wszystkich rzeczy włóczkowe jednakowo pasjonują, a po drugie – że jak wskoczy coś „extra", nie będę musiała czekać do zakończenia serialu, tylko rzecz od razu poruszyć. Nie wiem, może któraś z Was jest innego zdania, ale mnie się wydaje, że ten sposób będzie jednak w sumie korzystniejszy.

Dzisiaj – jeden z takich „luźnych", włóczkowych odcinków. Poświęcony dzianinom kilkukolorowym, ale nie pasiastym, tylko z tzw. wrabianymi wzorkami. Paski są oczywiście znacznie prostsze do wykonania, bo na raz operuje się jedną nitką w jednym kolorze, ale wrabiane wzorki mają dużą szansę stać się czymś w rodzaju przeboju więc... pomęczyć się ciutkę warto. Tym bardziej, że nie jest to męka taka znowu największa i jak ktoś ma już na swym koncie ze 3–4 sztuki rzeczy włóczkowych gładkich, jednokolorowych, może pokusić się o coś wzorzystego. Trudność polega na jednoczesnym operowaniu dwiema nitkami (oh, można i 3, a nawet 4, ale wtedy już do poplątania owych nitek ze sobą bardzo blisko) w dwóch różnych kolorach. Jak się np. chce zrobić wzór dwukolorowy w kosteczkę (tak jak na swetrze rozpinanym z długimi rękawami na zdjęciu obok), to robi się np. przez trzy kolejne rzędy 3 oczka niebieską włóczką, 3 beżową, 3 niebieską, 3 beżową... Po 3 rzędach następuje zmiana i tam, gdzie były 3 oczka niebieskie, robi się 3 beżowe. I tak dalej. Główna trudność polega na tym, a by ta druga nitka, która aktualnie nie jest używana (np. w momencie, gdy przerabia się oczka niebieskie, będzie to nitka beżowa) nie była zbyt mocno naciągnięta. Dlatego znacznie „bezpieczniej" jest wyrabiać wzory drobniejsze, takie gdy w jednym kolorze robi się tych oczek maksimum 4–5 i już bierze się kolor następny. Wszystkie z zaprezentowanych dzisiaj przykładowo modeli, choć każdy jest więcej niż dwukolorowy, są tak zaprojektowane, że naraz operuje się nie więcej niż dwoma różnymi nitkami. I tak jest przez kilka rzędów, potem mogą nastąpić dwie całkiem inne, ale znowu tylko dwie.

Na pewno najłatwiejszy wzór jest zastosowany przy swetrze z długimi rękawami – kombinacja wspomnianych wyżej kosteczek ze zwykłymi, wąskimi paseczkami. Trudniejsze nieco – bo wymagające znacznie większej uwagi – są wzory na kamizelkach. Najwięcej uwagi wymaga wykonanie szalenie wielokolorowego wzoru zaprezentowanego na kamizelce-bolerku. I pozornie on właśnie jest najtrudniejszy. Ale tylko pozornie – bo głównie jest to kwestia uwagi a nie umiejętności. No i przede wszystkim fantazji – aby taki wzór przy zastosowaniu wszystkich posiadanych w domu resztek sobie zaprojektować.

Ale ja myślę, że jeśli chodzi o fantazję, to Wam jej nie brakuje, prawda?!

RIUSZKA

PRERIA W MUZEUM

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

kotanych taksówek. Możemy też zawędrować na rynek w Gwatemali. Wreszcie zwiedzić Afrykę, poznając jej geograficzną, biologiczną i kulturową różnorodność.

Eksponaty wystawione w „afrykańskim" skrzydle są chyba najbardziej widowiskowe. Większość z nich ilustruje kulturę islamu północnej Afryki. Zaglądając do wnętrza namiotu wędrownych plemion, podpatrujemy twarde życie na pustyni. Dalej czeka nas Afryka Wschodnia – nagle znaleźliśmy się w bambusowym lesie. Słyszymy głosy zwierząt, zdające się dobiegać ze wszystkich stron. Ryki drapieżników i przejmujące zawodzenia ofiary. Otoczenie jest tak sugestywne, że bezwiednie odczuwamy lęk. Z ulgą porzucamy towarzystwo małp, słoni, lwów i nosorożców. Ale już w następnej sali czekają na nas nowe emocje – jesteśmy świadkami polowania Masajów na lwa. Scena rozgrywa się w przepięknej scenerii afrykańskiej sawanny.

Muzeum w Milwaukee działa dzięki ludziom, którzy poświęcili mu całe lata intensywnej pracy, dbając o urządzenie wnętrz, odpowiednie przygotowanie i dobranie eksponatów. Na jego zapleczu pracują wybitni specjaliści – historycy, rzeźbiarze, malarze, konserwatorzy, antropolodzy, botanicy i geolodzy. Eksponaty wykonuje się w miejscowych pracowniach. Tutaj maluje się tło dioram, i rzeźbi ludzkie postacie, które potem charakteryzatorzy odpowiednio ubierają.

Aby jak najwierniej oddać ducha poszczególnych części ekspozycji, pracownicy muzeum przemierzają często odległe kraje. Niedawno zorganizowali ekspedycję do Syrii, w rejon Amazonki, oraz do Nepalu. Niezwykle owocna była wyprawa na Arktykę, skąd przywieziono kopalne szczątki ryb, żółwi i krokodyli, znalezione w skałach, których wiek ocenia się na ponad 50 milionów lat.

Muzeum posiada również bogatą bibliotekę oraz centrum informacji historycznej, z którego może korzystać każdy zwiedzający.

– Wszystko, co pokazujecie tutaj jest wspaniałe. Człowiek czuje się tu cząstką minionych epok, spadkobiercą dawnych cywilizacji – mówię jednemu z pracowników.

– Tak, jesteśmy z tego dumni i uważamy, że udało się nam w pełni pokazać panoramę naszego dziedzictwa. Zobaczyć, to znaczy lepiej zrozumieć, to znaczy poczuć więź z tym, co było, z przeszłością.

BARBARA KOMUDA

Wypowiedź Leszka Dziędziewickiego na temat tzw. dowodów pobytu w przeszłości na Ziemi przedstawicieli jakiejś cywilizacji kosmicznej jest chyba najrzetelniejszym przedstawieniem problemu. Przeczytajcie zresztą sami. Podoba mi się jego krytyczne podejście, nie wolno bowiem naginać faktów lub interpretować ich dowolnie (tak jak to robi np. Daeniken) aby udowodnić jakąś hipotezę. Nawet jeśli nie wszystkie fakty są w tej chwili dla nas zrozumiałe, nie znaczy to aby im przypisywać nieziemskie autorstwo.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Tajemnice Tytana

Wliście tym chcę opisać jeden z księżyców Saturna. Tytan uważany jest przez astronomów za najdziwniejszego satelitę w Układzie Słonecznym. Jest on największym księżycem naszego systemu – jego średnica wynosi 5500 km i wyróżnia się obecnością atmosfery. Badania amerykańskich astrofizyków wykazały, że w atmosferze Tytana występuje metan, niedawno odkryto też i wodór. Jest to zjawisko bardzo zagadkowe, gdyż teoretycznie tak małe ciało niebieskie i o niskiej temperaturze nie może utrzymać wodoru.

Uczeni sądzą, że zapasy wodoru w atmosferze Tytana muszą być stale uzupełniane. Przypuszcza się, że pod cienką i twardą skorupą z metanowego i wodorowego lodu znajduje się płynna warstwa złożona z substancji podobnej do amoniaku. Meteory uderzające w skorupę Tytana przebijają ją i powodują wylewanie się amoniaku i przesyconej metanem wody. Promieniowanie nadfioletowe powoduje fotochemiczne reakcje, w których wydziela się m. in. wolny wodór. Na sprawdzenie tej teorii trzeba jednak jeszcze trochę poczekać.

Krzysztof Kordalski
ul. Kalingradzka 31/32
10–437 Olsztyn

NIE WIERZĘ W ISTNIENIE „CNT"

Supercywilizacje na nieznanych nam planetach istnieją w... wyobraźni malarzy fantastów. Przynajmniej na razie

Śledzę dyskusję, która toczy się na łamach **TOMIKA**. Nie wytrzymałem i chcę do tych wszystkich wypowiedzi własne zdanie dołączyć. Jestem zdecydowanie przeciw. Jestem przeciw wszelkim tłumaczeniom naszych ziemskich spraw działaniem kosmitów. Moja sceptyczna postawa ma poparcie w argumentach. Otóż, osobiście wątpię aby gdzieś w pobliżu (do 1000 lat świetlnych) nas istniała jakaś cywilizacja. Oczywiście nie mamy żadnych dowodów „za" ani „przeciw" ale w myśl reguły „nie stwierdzono, więc nie istnieje" należy uznać, że żadna cywilizacja naukowo-techniczna (dalej CNT) nie istnieje. Ale gdyby nawet jakaś CNT istniała to dlaczego musiałaby odwiedzić akurat Ziemię?

Zakładając, że odwiedziła nas jakaś grupa przedstawicieli CNT, zaczynamy rozglądać się po Ziemi i szukać dowodów. Podzielmy te dowody na 3 grupy (za dr Igorem Możejką – Problemy 8/1975 str. 55):

- cytaty ze starych ksiąg
- przedmioty i malowidła
- historyczne budowle, wykonane pod kierunkiem kosmitów lub ich „rękami".

Cytaty ze starych ksiąg, przedmioty i malowidła. Pierwsze dwie grupy dowodów mówią o ogromnym podobieństwie kosmitów do ludzi. Ba! Przytacza się teraz różne dowody (malowidła, statuetki japońskie), które są bardzo podobne do współczesnych kosmonautów w skafandrach próżniowych. Tylko... wiadome jest wszystkim, że skafandry w ciągu kilku lat ulegną ogromnym zmianom i wtedy już te statuetki i malowidła nie będą przypominać kosmitów w ziemskich skafandrach.

Do pierwszej grupy „dowodów" należy zaliczyć proroctwo Ezechiela. Proroctwo to jest interpretowane przez niektórych jako relacja naocznego świadka, który opisywał pobyt kosmitów. No cóż, można różnie interpretować teksty. Znany jest chyba wszystkim dowcip z przestawieniem przecinków, np. tekst: „Ułaskawić, nie zabić" – wystarczy postawić przecinek za „nie" i mamy wtedy różne sensy. Zwłaszcza w sferze myśli wyrażonej dość nieudolnym językiem. Stosując opisy Ezechiela jeden z ekspertów NASA zaprojektował rakietę, która wg współcześnie znanych praw aerodynamiki jest rakietą o minimalnym oporze w czasie startu i maksymalnym oporze powietrza w czasie lądowania. Ale inna hipoteza mówi o opisie znaków Zodiaku, która jest więc prawdziwa?

Zajmijmy się trzecią grupą dowodów – budowlami. Aby taka budowla była dowodem musi spełniać kilka podstawowych warunków.

- musi być daleko,
- musi być mało znana laikom
- musi być monumentalna lub niezwykła.

Zajmijmy się więc wszystkimi tymi budowlami po kolei. **Pierwsza z nich – Wieża Babel – (zikkurat Marduka w Etemenanki)**. Jeden z twórców hipotezy o Wieży Babel, jako budowli wzniesionej ku czci lub też przez samą CNT spoza Ziemi, zalecał jej zbadanie. Nie jest to potrzebne. Ekspedycja archeologiczna prowadziła już tam badania na początku naszego wieku (ekspedycja Koldeweya). W rezultacie badań znaleziono i odczytano tabliczki gliniane, które szczegółowo opisywały funkcje i rozmiary budowli. Zresztą wg doc. dr Andrzeja Wiercińskiego zikkurat Etemenanki był zaszyfrowanym kalendarzem astronomicznym (Problemy 6/1978). Tak więc Wieża Babel to przykład źle wybrany przez zwolenników cywilizacji pozaziemskiej (dalej CPZ).

Terasa w mieście boga Baala (Baalbek lub Heliopolis). Przykład też nieszczęśliwy. Kto widział, żeby zbudować magazyn na paliwo jądrowe w samym centrum gęsto zaludnionego obszaru – na dodatek bez żadnych świadków! Co dziwniejsze, płyty są kamienne. (Widocznie kosmici nie mają innych materiałów). Jeszcze weselszy jest fakt, że płyty noszą ślady ręcznej obróbki. No cóż, kosmici, naród prymitywny znają jedynie przecinaki i rakiety zdolne pokonywać przestrzeń rozległą na lata świetlne. Wyjątkowo ciekawe zestawienie! Tym bardziej, że my, ziemianie, naród podły, przywłaszczyliśmy sobie to dzieło CPZ i sfałszowaliśmy dokumenty. A tak już serio: Antonius Pius (138–161 n.e.) nakazał budowę największej na świecie świątyni Jowisza. Kontynuowana (budowa) ona była m.in. przez Karakallę. Została wzniesiona w II w. n.e. – w chwili największego rozkwitu cywilizacji Rzymian. Zresztą świątynia Jowisza nigdy nie została dokończona – w kamieniołomie została największa płyta, do dziś zresztą podziwiana przez turystów.

Obelisk w Delhi. Sześciometrowy obelisk wykonany przez kosmitów. Szkoda tylko, że z ziemskiego żelaza. W żadnej mierze nie mógł być zrobiony przez kosmitów. Dlaczego? Dlatego, że są na nim dwa napisy: jeden – epitafium dla władcy Czandragupty III, drugi zaś głosi, że cesarz Anand Pal przeniósł obelisk z Stopa Wisznu do Delhi. A może Hindusi nie znali stali i dostali go w darze od kosmitów? Ten kto interesuje się historią zaprzeczy – Hindusi stal znali od (właściwie żelazo, a nie stal) X w. p.n.e., a obelisk powstał w V w. n.e. – tylko 1500 lat różnicy!

Pagoda w Konaraku. A. Garbowski twierdzi: „W Indiach do dziś dnia znajduje się świątynia, Czarna Pagoda, o wysokości 75 m. Wieńczy ją dach w postaci starannie obrobionej (ręcznie zresztą – przyp. L.D.) płyty kamiennej o wadze 20 ton!" „Tajemnice najstarszych cywilizacji" – A. Garbowski.

Zajmijmy się jednak Pagodą. Kilka płyt (a nie jedna) o rozmiarach i masie znacznie mniejszych niż twierdzą zwolennicy kosmitów, leżą równo jedna obok drugiej, a upadły wtedy gdy runęła wieża. Dziwne jest tylko to, że poupadały w rządek i bez żadnych śladów upadku z 75 metrów. Bo prawdą jest, że nie upadły. W czasie prac budowlanych wyszło na jaw, że nie nadaje się grunt. Toteż nigdy Pagody nie ukończono. Zresztą hinduscy specjaliści od architektury są lepsi od nas, bo jak twierdzi A. Garbowski w swej wyżej wspomnianej książce: „Jak utrzymują specjaliści, współczesna technika budowlana nie potrafi operować podobnymi ciężarami. A hinduscy specjaliści sprawę rozwiązywali dowcipnie. Z zewnątrz i wewnątrz zasypywali świątynię, tworząc kurhan. Następnie wciągali płyty przeznaczone na dach. Usuwali ziemię i świątynia gotowa" (i to bez pomocy kosmitów)!

Kończąc chciałem się zapytać: dlaczego naciągamy fakty do hipotez i na siłę wpychamy kosmitów tam gdzie się nie prosili? Jest na to odpowiedź: Nie chcemy być sami! A przecież gdyby kosmici chcieli zostawić jakiś ślad to na pewno są lepsze sposoby niż budowanie świątyń, choćby umieszczenie satelity na stabilnej orbicie. A gdyby nie chcieli zostawić śladów, to wątpię czy współczesna nauka odkryłaby pozostałości po nich. Kończę i twierdzę, że kosmici wcale nie istnieją, a gdyby istnieli... To będę mile zaskoczony – bo to jest lepsze niż niemiłe rozczarowanie.

Leszek Dziędziewicki
55-080 Kąty Wrocławskie
1 Maja 49/2

Słońce przedarło się spoza chmur i zaczęło nieźle przypiekać. Kurz i zaduch ciasnych uliczek stały się nie do zniesienia. Jan szedł przed siebie i jakoś same nogi zaniosły go znowu nad Sekwanę.

– Naprawdę coś mnie tam ciągnie – pomyślał. – Trzeba będzie dokończyć tę balladę.

Przypomniał sobie o Julietcie, która może czeka już na niego w umówionym miejscu. Ciekawe, czy w niedzielę handluje także?

Kiedy zbliżał się do mostu, usłyszał jej głos:

– Cześć, Jean, dobrze, że jesteś. Zaraz idziemy na dworzec.

Przywitali się jak starzy znajomi.

– A gdzie Pierre? – spytała.

– Złapał inną pracę.

– Aha – pokiwała głową ze zrozumieniem. – To nic, pójdziemy we dwoje.

Poszli.

I wtedy właśnie spadła jej na nogę ta skrzynia. Krzyknęła i odskoczyła w bok. Potem utykając i podskakując na jednej nodze podbiegła do Janka.

– Nic takiego – machnęła ręką. – Trochę mnie uderzyło... Ale zobacz, ile pomarańczy!

Kiedy wyszli na ulicę. Janek był objuczony jak wielbłąd. Na jednym ramieniu dźwigał gitarę, a na drugim spory, wyładowany worek. Nie mogli iść szybko, bo Julietta kulała coraz bardziej. Szczebiotała cały czas – to o swojej białej ciotce, to o kafejce, to o jakimś magiku, który rwał na sobie grube łańcuchy „taki siłacz, mówię ci Jean!", to o studencie rysującym kolorowe kwiaty na trotuarze, aż wreszcie przystanęła i poprosiła ni stąd, ni zowąd:

– Zagraj coś, Jean!

– Skąd wiesz, że ja umiem grać?

– A po co masz gitarę?

Prawda! Gitara! Postawił worek pod ścianą i zaczął jej tłumaczyć, że gitara służy mu tylko do akompaniowania przy śpiewaniu, że to właściwie Piotr gra...

– To zaśpiewaj! Koniecznie coś zaśpiewaj – uparła się Julietta. – Ja od razu wiedziałam, że ty musisz robić coś takiego. Grać czy malować, czy przerywać łańcuchy... Poznałam po tobie.

– Z czego poznałaś?

– No nie wiem, ale poznałam... A czy śpiewasz też na płycie?

– Na jakiej płycie?

– No, nie rozumiesz? Do naszej kafejki przychodzi taki, co jego piosenki były nagrane na płycie. I nawet dał mi kiedyś taką płytę... To była bardzo ładna płyta.

– Słuchałaś?

– Płyty nie, bo nie mam adapteru, ale tak sobie wyobrażałam. Miałam ją pod poduszką i w nocy śniło mi się to wszystko. A na kopercie od płyty było jego zdjęcie.

– Jak on się nazywał?

– Nie wiem. Mówili na niego Mart, ale chyba nazywał się inaczej... No, idziemy dalej. Daj gitarę, to ci poniosę.

Janek już się szykował, żeby zaśpiewać Julietcie jakąś piosenkę, ale ona zapomniała widocznie o swojej prośbie. Porwała gitarę, przerzuciła ją przez ramię i kulejąc ruszyła przed siebie.

Zatrzymali się na starym miejscu i zaczęli handlować. Kiedy sprzedali owoce i podzielili pieniądze, Julietta przysiadła na murku i odetchnęła z ulgą.

– Idź już, Jean – szepnęła spuszczając głowę. – Idź, bo ja umówiłam się tu z ciotką.

Chłopak stanął niezdecydowany. Chciał jakoś okazać małej swoją życzliwość, pocieszyć ją, powiedzieć coś ciepłego, ale nie dała mu dojść do słowa.

– No, idź już – powtórzyła smutno. – Ciotka zaraz tu po mnie przyjdzie. Ona jest taka dziwna. Nie lubi, jak gadam z chłopakami. Jest trochę staroświecka, ale bardzo mnie kocha. Nie chcę jej martwić. Do jutra, Jean, przyjdź jutro!

Chłopak uścisnął brudną łapkę Julietty, a potem pogładził ją po policzku.

– Do jutra, mała! – zawołał wesoło.

„Z tą ciotką to jakaś niewyraźna sprawa" – myśląc idąc do bulwaru. Obejrzał się. Julietta siedziała jeszcze na murku. Wyglądało na to, że naprawdę na kogoś czeka.

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚMIESZY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 21

STRESZCZENIE

UPRZEJMIE DONOSIMY, ŻE ORIENT-MEN PRZED WYRUSZENIEM DO CELU SWOJEJ PODRÓŻY DOKONAŁ ZŁEJ REPERACJI KALORYFERA PEWNEMU ESKIMOSOWI. ESKIMOS MAJĄC SŁUSZNE PRETENSJE, TROPI ORIENT-MENA. JEDNAK Z NIEWIADOMYCH PRZYCZYN OSTATNIO NIE DAJE ZNAKU ŻYCIA CO JEST NIEZWYKLE DENERWUJĄCE NIE TYLKO DLA ORIENT-MENA, ALE I DLA MNIE.... (AUTOR)

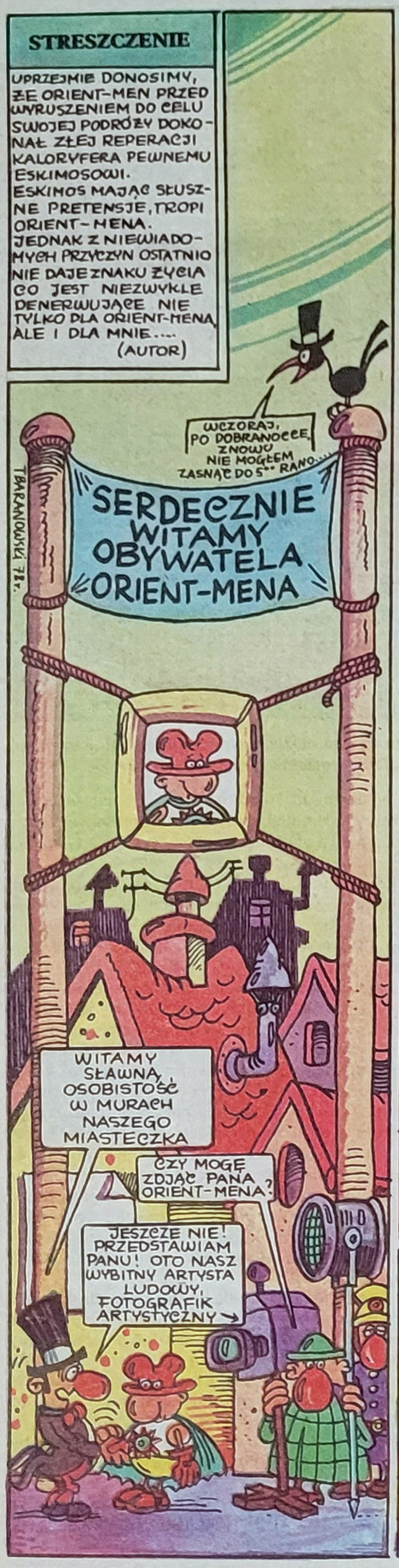

ŚWIAT SMĘDOCHÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA - RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 7728/G **S-3**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Karol Malusiak

BALLADA ZNAD SEKWANY

25

Wahał się przez chwilę, co wybrać, wreszcie wziął delikatnie w dwa palce kawałek kokosowego orzecha, włożył go sobie do ust, łaskawie skinął głową kupcowi i poszedł powoli przed siebie, aż zniknął w jednej z ulic.

Właściciel straganu ani drgnął, a chłopcy spojrzeli po sobie i roześmieli się.

Włóczyli się po ulicach od rana, od chwili, kiedy doliczyli się, że to dziś niedziela.

Świt zastał ich drzemiących na ławce nad Sekwaną. Kiedy ranne mgły wstają znad wody, włóczęga wypatruje słońca, żeby ogrzać przemarznięte ciało, i przetrząsa kieszenie w nadziei, że może się tam coś zawieruszyło...

– Starczy na parę bananów i bagietkę.

– A jak tam z twoją balladą, Janku?

– Rośnie powoli. Wielkie dzieła potrzebują czasu... Na przykład katedrę Notre Dame budowali podobno przez osiemdziesiąt lat. Mam nadzieję, że uporam się z tym trochę szybciej.

Pozbierali manatki i ruszyli przed siebie.

Minęli Cité i szli dalej, obserwując brzeg rzeki. Było pusto i sennie.

– Jakieś święto czy co? – mruknął Janek.

– Święto? Poczekaj! – Piotr obliczył dni na palcach i wypadło mu, że jest niedziela.

A więc niedziela w Paryżu. Można dziś za darmo pójść do Luwru i nasycić oczy pięknościami z całego świata. Tylko pustego żołądka nigdzie za darmo się nie nasyci. Trzeba odejść od rzeki, zapuścić się w miasto i poszukać gdzieś tanich owoców na niedzielnym targu. Są takie targi w Pas-de-Calais, muszą być i w Paryżu.

Przy koszarach – tam, gdzie Pont Suilly przecinający ukośnie Sekwanę zamienia się w bulwar Henryka IV – skręcili w lewo. Nie spytali nikogo o drogę i poszli chyba źle. Było tu zbyt elegancko. Bocznymi ulicami doszli więc znowu do bulwaru i tak dotarli do Placu Bastylii. Tutaj, w dzielnicy ludowej prędzej może znajdą coś dla siebie.

I znaleźli wreszcie to, czego szukali: Targ na place d'Aligre. Już z daleka słychać nawoływania i krzyki.

Różnoraka zielenina: owoce, warzywa, wędliny, mięso, pieczywo i kwiaty... Wszystko po zniżonej cenie, aby jak najszybciej sprzedać.

Kupili bułkę i dwa pobrązowiałe banany. Było tego trochę przymało, ale zachowali się wczoraj po wielkopańsku, dając Gozardowi dwa franki za przejście, więc teraz musiało im to wystarczyć.

Chodzili jeszcze między straganami, przyglądali się kupcom i kupującym, przeszli obok człowieka-orkiestry, który znów grał i tańczył bez chwili wytchnienia, i już mieli iść dalej, gdy zatrzymał ich wypadek. Oto jeden z handlarzy ładował skrzynie na swój samochód. Spieszył się bardzo, bo było tego dużo, a nie chciał wejść w konflikt z policjantem, który czekał już, spoglądając złośliwie na zegarek. Nagle skrzynie przechyliły się i cała piramida runęłaby na ulicę, gdyby Piotr nie skoczył i nie przytrzymał jej. Udało się! Kupiec zasalutował Piotrowi na podziękowanie.

– Poczekaj! – rzucił za nim. – Może chcesz zarobić parę franków?

– Dlaczego nie? – uśmiechnął się Piotr.

– To wsiadaj do samochodu, pojedziesz ze mną. Pomożesz mi przy przeładunku towaru.

Piotr mrugnął do Janka: – Jadę. Spotkamy się przed wieczorem na Pont-Neuf.

I tak znowu trafiły mu się skrzynie.

Dokończenie na str. 7